

Biała cisza

Jack London



calibre 0.9.27

BIAŁA CISZA

Jack London

Carmen nie pociągnie dłużej niż dwa dni. Mason wypluł grudkę lodu, posępnie spojrzął na zabiedzoną sukę i wzięwszy do ust jej łapę, wygryzał lód przywarty boleśnie między pazurami.

— Jak żyję, nie widziałem psa o wymyślnym imieniu, który byłby cokolwiek wart — odezwał się, gdy dokończywszy zajęcia odepchnął Carmen. — Takie kundle więdną po prostu i zdychają z samej pychy. Czy słyszałeś kiedy, by stało się coś złego psu o dorzecznym imieniu, powiedzmy Cassiar, Siwasz, Husky? Nie, mój drogi! Spójrz choćby na Shookuma. Ten ma...

Hop! Wychudły zwierz porwał się z miejsca. Białe zębiska o włos chybiły grdyki Masona.

— Nie rusz! Rozumiesz?

Zręczny cios wymierzony za ucho ciężkim biczyskiem rozciągnął psa na śniegu. Shookum leżał drgając lekko, a jego wyszczerzone kły ociekały żółtawą śliną.

— A nie mówiłem. Ten ma ikrę. Trzymam zakład, że najdalej za tydzień zeżre Carmen.

— A ja gotów jestem założyć się o coś innego — powiedział Malemute Kid odwracając na drugą stronę bochenek zamrożonego chleba, który tajał koło ogniska. — Przed końcem podróży na pewno zjemy Shookuma. Jak myślisz, Ruth?

Indianka wrzuciła kawałek lodu do kawy, żeby się ustała, i przeniosła wzrok z Malemute Kida na swojego męża. Później spojrzała na psy, lecz nie odezwała się słowem.

Truizm, który usłyszała, nie wymagał odpowiedzi. Istniała tylko ta jedna możliwość. Nie było żywności dla psów. Zapasy dla ludzi skąpo mogły starczyć na sześć dni, a przed wędrowcami ciągnęło się dwie ście mil nie przetartego szlaku. Dwaj mężczyźni i kobieta obsiedli ognisko i zabrali się do skromnego posiłku. Psy, które odpoczywały w szorach (był to tylko biwak południowy), zazdrosnym wzrokiem pochłaniały każdy kęs.

— Od jutra koniec z obiadami — oświadczył Malemute Kid. — No, i psy trzeba mieć na oku. Są coraz bardziej rozjuszone. Niech się trafi sposobność, a jak nic rozszarpiają któregoś ze słabszych.

— Byłem kiedyś przewodniczącym koła młodych metodystów i uczyłem w szkółce niedzielnej! — Po tej wypowiedzi na pozór bez związku z sytuacją Mason zapatrzył się w buchające parą mokasyny; bliski był drzemki, lecz ocknął się, gdy Ruth napełniła mu kubek. — Chwała Bogu, mamy pod dostatkiem herbaty! W Tennessee widziałem jak to zielsko rośnie. Ach, ile dałbym dziś za gorący racuszek! Mniejsza o to, Ruth, niedługo przestaniesz zdychać z głodu i na dobre pozbędziesz się mokasynów.

Słyszac to Ruth zrzuciła posępną maskę, a jej oczy rozgorzały blaskiem wielkiej miłości dla jasnoskórego władcy. Był to pierwszy biały człowiek, jakiego widziała, a zarazem pierwszy mężczyzna, który traktował kobietę odrobinę lepiej niż zwierzę lub juczne bydło.

— Aha, Ruth — ciągnął Mason odwołując się do niechlujnego żargonu, jedyne sposobu porozumienia między małżonkami. — Ty czekaj, aż będzie koniec naszej drogi, aż dostaniemy się w szeroki świat. Wsiądziemy na duża piroga białych ludzi i hajda na słona woda. Aha! Wielka woda, niebezpieczna, zła woda! Wysoka fala hop i hop! tańczy cały czas w góra i w dół. Wielka droga,

długa, bardzo długa droga. Płyniesz dziesięć snów, dwadzieścia snów, czterdzieści snów — obrazowo wyliczał dekady na palcach. — Cały czas woda i woda. Później będzie wielka wioska, dużo, bardzo dużo ludzi, jak komary w lecie. A wigwamy... O-ho! Takie wysokie! Oo! dziesięć, dwadzieścia sosen! Rozumiesz?

Umilkł bezradnie i spojrzał błagalnym wzrokiem na towarzysza. Później pracowicie wytłumaczył na migi, jak to dwadzieścia sosen stoi jedna na drugiej. Malemute Kid uśmiechał się z pogodnie cyniczną miną, ale Ruth szeroko otwierała pełne podziwu oczy. Była zadowolona, bo wydawało się jej, że biały władca żartuje, a taki zaszczyt pochlebiał trwożliwemu sercu biednej kobiety.

— Później wejdiesz do... do takiej skrzyni i hop-la! Już lecisz w górę! — Dla ilustracji podrzucił opróżniony tymczasem kubek i chwytając go zręcznie, zawołał. — I siup! Już zjeżdżasz na dół. Biały człowiek wielki, wielki czarnoksiężnik. Ty w Fort Yukon, ja w Arctic City. Daleko, bardzo daleko, dwadzieścia pięć snów. Cała droga długi, bardzo długi sznur. Ja biorę sznur i gadam: „Halo, Ruth, to ty?” A ty na to: „Czy mój dobry mąż?” A ja: „Tak”. A ty: „Nie można upiec dobra chleb. Nie ma już soda”. A ja: „Szukaj w schowku pod mąką. Do widzenia”. Szukasz w schowku pod mąką i znajdujesz dużo, bardzo dużo soda. Cały czas ty w Fort Yukon, jak w Arctic City. Oo! Biały człowiek wielki, wielki czarnoksiężnik. Tak, Ruth! Wysłuchawszy cudownej baśni Indianka uśmiechnęła się tak promiennie, że obydwoj mężczyźni gruchnęli śmiechem. Ale zamieszanie wśród psów przerwało nagle opowieść o cudach szerokiego świata; nim rozpędzili ujadających zapaśników, kobieta osznurowała już sanie i przygotowała wszystko do drogi.

— Jazda! Hej, kundle! Jazda!

Mason zręcznie wywijał batem, kiedy zaś psy skomlać wyprężyły się w szorach i przypadły brzuchami do ziemi, poderwał sanki żerdką kierowniczą. Ruth pogoniła za nim drugi zaprząg, a Malemute Kid, który pomagał jej startować, zamykał pochód. Silny, zahartowany w trudach prostak, zdolny jednym uderzeniem pięści obalić wołu, nie mógł się jednak zmusić do bicia nieszczęsnych zwierząt, lecz zachęcał je tak, jak rzadko to robią poganiacze. Ba! Niemal skowytał wraz z nimi litując się nad ich udręką.

— Śmiało, no, śmiało! Naprzód, zdrożone biedaczyska — pomrukiwał z cicha, gdy kilkakrotnie nie udało się ruszyć z miejsca obładowanych sanek; na koniec jednak cierpliwość doczekała się nagrody i psy skomlać żałośnie podążyły śladem towarzyszy.

Ustały wszelkie rozmowy. Praca na szlaku nie dopuszcza tego rodzaju zbytku, bo wędrowka przez pustkę Dalekiej Północy jest najcięższym ze wszystkich śmiertelnych trudów. Za szczęśliwca uchodzi ten, kto ceną milczenia okupi pomyślny dzień drogi ubitą ścieżką. Ale torowanie dziewiczego szlaku to harówka przekraczająca niemal wytrzymałość ludzkiego serca. Za każdym krokiem wielka rakietą grzęźnie, aż śnieg sięga kolana. Później wolniutko, prostopadle (bo cał odchylenia grozi katastrofą) trzeba wyciągać nogę na powierzchnię. I znowu naprzód! Druga rakietą zapada, aby po chwili windować się pół jarda w górę. Zuch, który po raz pierwszy próbuje tej zabawy, zmęczy się do cna i da za wygraną po stu jardach, jeżeli przedtem nie zapłaczą mu się nogi i nie runie jak długi na biały kobierzec. Wędrowiec, co przez cały dzień nie wejdzie psom w drogę, może z czystym sumieniem i niewysłowioną dumą wpełznąć wieczem do śpiwora; jeżeli zaś wytrzyma dwudziestodniową podróż Długim Szlakiem, będzie godny zazdrości bogów.

Popołudnie mijało. Przejęci trwogą zrodzoną z Białej Ciszy niemi wędrowcy zginali utrudzone grzbiety. Natura ma wiele sposobów, by przekonać człowieka o jego słabości — nieustanne przypyły morza, namiętne furie orkanów, postrach trzęsień ziemi, potężne, długie salwy artylerii niebieskiej. Ale najbardziej wymowna i przerażająca jest bierna groza Białej Ciszy. Pod bezchmurnym, metalicznym niebem martwieje wszelki ruch. Najcichszy bodaj szept staje się

świętokradztwem, a wylękniony człowiek boi się dźwięku swego głosu. Samotna drobina ludzka wędrująca upiornym pustkowiem wymarłego świata drży z obawy przed własną śmiałością i uprzytamnia sobie, iż życie jej warte tyle, co życie najlichszego robaka. Dziwne myśli przychodzą nie wzywane, a tajemnica wszechrzeczy domaga się ujęcia w słowa. Nawiedza wówczas człowieka obawa śmierci, Boga i bezmiarów świata; rodzi się nadzieja zmartwychwstania i żywota wiecznego; uwięziony duch tęskni do nieśmiertelności i toczy daremną walkę z ciałem. Jeżeli stworzenie kiedykolwiek obcuje bezpośrednio z Bogiem, to właśnie w takich chwilach.

Dzień zbliżał się do końca. W miejscu, gdzie rzeka kreśliła wielkie kolano, Mason zwrócił swój zaprząg w stronę skrótu przecinającego wąski język łądu. Ale psy nie mogły zdobyć stromego brzegu. Ześlizgiwały się raz po raz, chociaż Ruth i Malemute Kid popychali sanie. Nadeszła wreszcie ostateczna próba. Osłabłe z głodu, zdrożone zwierzęta wykrzeswały z siebie resztkę sił. W górę, w górę! Sanie przechylały się już na krawędzi urwiska, kiedy przodownik pociągnął sznur psów w prawo, włączając Masonowi pod rakiety. Skutki były fatalne. Mężczyzna został zwalony z nóg, jeden pies upadł w zaprzęgu, a sanie obsunęły się i całym ciężarem pomknęły w dół;

Bat świsnął złowrogo i spadł na psy, zwłaszcza zaś na tego, który upadł.

— Daj spokój, Mason — zaprotestował Malemute Kid. — Nie widzisz, że biedaczysko goni ostatkiem sił? Poczekaj trochę. Przyprzęgniemy moje kundle.

Mason przestał wymachiwać batem i czekał spokojnie, aż przebrzmia ostatnie słowa. Wówczas długi rzemień rozwinął się znowu i oplótł ciało czworonogiego przestępcy. Carmen (gdyż to ona upadła) zwinęła się na śniegu, zawyła rozpaczliwie i przewróciła się na bok.

Był to tragiczny moment, smutny incydent na szlaku. Zdychający pies i skłóceni towarzysze podróży. Ruth przenosiła błagalny wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Malemute Kid zdołał się pohamo wać i chociaż w oczach jego było morze żalu, pochylił się nad suką i przeciął rzemień. Nikt nie powiedział słowa. Połączono dwa zaprzęgi i dzięki temu sforsowano trudne zbrocze. Sanie były znów w ruchu, a bliska śmierci Carmen wlokła się smutno w tyle. Dopóki pies jest zdolny do wędrówki, nie strzela się do niego. Zostawia mu się ostatnią szansę: niech przypełźnie do biwaku, jeśli zdoła, bo może uda się upolować łosia i pies odzyska siły.

Mason żałował już tego, co zrobił w złości, ale zbyt był uparty, by przyznać się do winy. Z trudem wędrował na czele karawany, nie podejrzewając wcale, że w powietrzu wisi niebezpieczeństwo. Młody las rósł gęsto w osłoniętym od wiatrów jarze, którym wiodła teraz droga. O przeszło pięćdziesiąt stóp od szlaku strzelała w niebo potężna sosna. Stała tam przez wiele ludzkich pokoleń, a od początku los wydał na nią taki, nie inny wyrok — wyrok, który tyczył zarówno jej, jak i Masona.

Mężczyzna schylił się, aby poprawić obluzowany rzemyk mokasyna. Sanki stanęły. Psy bezgłośnie ułożyły się w śniegu. Cisza była widmowa. Najłżejszy podmuch nie szemrał pośród drzew inkrustowanych szronem. Chłód i martwość zewnętrznego świata zmroziły serce i zamknęły drżące usta przyrody. Stłumione westchnienie pulsowało w powietrzu. Nie było go właściwie słychać, odczuwało się je tylko niby zapowiedź ruchu w zastygłej próżni. Nagle wyniosłe drzewo ugięło się pod brzemieniem lat i śniegu i odegrało ostatnią swą rolę w tragedii życia. Mason usłyszał złowróżbny trzask i próbował uskoczyć na bok, ale niemal już wyprostowany otrzymał miażdżący cios w ramiona i barki.

Nagle niebezpieczeństwo, gwałtowna śmierć! Ileż razy Malemute Kid spoglądał im oko w oko. Sosnowe igły dygotały jeszcze, kiedy zaczął komenderować i skoczył na ratunek. Indianka nie zemdlała ani nie podniosła głosu w czczym zawodzeniu, co uczyniłaby na pewno niejedna z jej białych sióstr. Na rozkaz towarzysza zawisła całym ciężarem u końca zaimprovizowanej dźwigni i

łagodząc nacisk grubego pnia słuchała bolesnych jęków męża. Malemute Kid wziął się tymczasem do siekiery. Stał dzwoniła o zmarznięte drewno, a każdemu zamachowi towarzyszył głośny, zdyszany oddech: „Uff! Uff!” dobywający się z piersi drwala.

Wreszcie Kid ułożył na śniegu żałosny szczątek, co tak niedawno był krzepkim mężczyzną. Ale nieporównanie gorsza od męki przyjaciela była niema rozpacz w oczach kobiety, ów wyraz beznadziejnego, a zarazem pełnego nadziei pytania. Mówiono niewiele. Ludzie Dalekiej Północy szybko poznają próżność słów i nieocenioną wartość czynów. W temperaturze sześćdziesięciu pięciu stopni niżej zera człowiek nie wyżyje długo, leżąc na śniegu. Co tchu rozcięto więc osznurowanie sanek i ranny owinięty w futra spoczął na barłogu z gałązek. W pobliżu huczał ogień rozniecony z drzewa, które było przyczyną nieszczęścia. Za Masonem i częściowo nad nim wzniesiono prowizoryczny namiot — kawał brezentu ustawiony tak, by chwycił promieniujące ciepło i zwracał je ku legowisku. Sztuczkę taką zna każdy, kto u źródeł studiuje fizykę. Ponadto ludzie, co nieraz dzielili łoże ze śmiercią, bez trudu łowią uchem jej podzwonne. Mason był straszliwie zmasakrowany. Wynikało to jasno z najbardziej nawet pobieżnych oględzin. Miał złamaną prawą rękę, prawe udo i łopatkę. Nogi od bioder były sparaliżowane i istniało znaczne prawdopodobieństwo obrażeń wewnętrznych. Jedyłą oznakę życia stanowił słaby jęk, który ranny wydawał od czasu do czasu.

Nie było nadziei; nie było rady. Niemiłosierna noc sunęła powoli. Ruth zapadła w posępny stoicyzm właściwy jej rasie, a ogorzała na brąz twarz Malemute Kida zarysowały nowe zmarszczki. Prawdę rzekłszy, Mason najmniej cierpiał, bo spędzał właśnie czas we wschodnim Tennessee, u stóp Wielkich Gór Dymnych i ponownie przeżywał dzieciństwo. Najbardziej wzruszająca była melodia zapomnianego od dawna południowego dialektu, kiedy biedak majaczył o ciepłych sadzawkach, tropieniu szopów, awanturnicznych wyprawach po arbuzy. Dla Ruth słowa męża brzmiały niczym greka, ale Malemute Kid rozumiał wszystko i odczuwał tak, jak odczuwać potrafi takie rzeczy jedynie człowiek odcięty przez długie lata od całego sensu cywilizacji.

Z rana wróciła rannemu przytomność i Malemute Kid pochylił się nad nim, by lepiej słyszeć stłumiony szept.

— Pamiętasz, jak poznałem się z Ruth nad Tananą? Na przyszłe ruszenie lodów minie cztery lata. Wtedy jeszcze nie zależało mi na niej tak bardzo. Cóż, była ładna, a ja młody... gorąca krew... Tak przynajmniej zdaje mi się dzisiaj. Ale, widzisz, od tego czasu mocno ją pokochałem. Była dobrą żoną. Zawsze w biedzie stawiała ze mną ramię w ramię. Robotna jest i wie, jak zachować się w każdej sytuacji. Chyba pamiętasz, jak strzelała przy Łosiowym Wodospadzie, żebyśmy mogli zwiać ze skały. Kule siekły po wodzie niby grad. Pamiętasz? Albo ten głód w Nuklukyeto? Albo jak przeprowiła się przez rzekę podczas ruszania lodów po to, by w porę zdążyć z wia domością? Tak, tak... Była mi dobrą żoną. O wiele lepszą niż tamta. Bo ty nie wiesz, że byłem żonaty. Nie opowiadałem ci nigdy, co? A tak, raz już próbowałem szczęścia na Południu, w Stanach. Dlatego właśnie jestem tutaj. Z tamtą znaleźliśmy się od dzieci, chowaliśmy się razem. Uciekłem, żeby dać jej powód do rozwodu. Skorzystała z okazji, a jakże!

Ale to nie ma nic wspólnego z Ruth. Na przyszły rok myślałem zwinąć manatki i ruszyć z nią w szeroki świat. Ha, trudno! Już za późno. Słuchaj, Kid! Nie odsyłaj jej do rodziny. Taki powrót to sprawa diabelnie przykra dla kobiety. Pomyśl tylko! Blisko cztery lata na naszym boczku, fasoli, mące i suszonych owocach, a później znowu ryba i karibu. Źle by jej było wracać do dawnego, kiedy poznała już nasze obyczaje i zrozumiała, że żyjemy lepiej niż jej plemię. Zaopiekuj się nią, Kid... Słuchaj! Dlaczego ty nie miałbyś... Ale nie!... Zawsze byłeś nieśmiały z babami, no i nigdy nie gadałeś, czemu zabłądziłeś do tego kraju. Bądź dla niej dobry i jak tylko będzie można, wypraw ją na

Południe, do Stanów. Ale zrób tak, żeby mogła wrócić, jakby ją ogarnęła nostalgia, rozumiesz?

A dziecko... Słuchaj, Kid! Ono nas jeszcze bardziej zbliżyło. Mam nadzieję, że to będzie chłopak. Pomyśl tylko! Krew z mojej krwi. Kid, on nie może zostać w tym kraju. A jeżeli urodzi się córka, tym bardziej nie powinna tu zostać. Sprzedaj moje futra. Przyniosą co najmniej pięć tysięcy. Drugie tyle mam na rachunku w Kompanii. Prowadź dalej nasze wspólne interesy. Myślę, że ta działka nad potokiem powinna dobrze płacić. Dopilnuj, żeby chłopak uczył się jak należy, w dobrej szkole. I przede wszystkim, Kid, nie pozwól mu wracać. To kraj nie dla białych ludzi.

Ze mną koniec, Kid. Pociągnę może trzy, może cztery sny. Wy musicie iść dalej. Pamiętaj! To przecie moja żona i mój syn! O Boże, Boże! Mam nadzieję, że to będzie chłopak. Nie wolno wam bałamucić przy mnie. Słuchaj! Konający żąda, żebyście szli dalej.

— Daj mi trzy dni — poprosił Malemute Kid. — Może ci się poprawi. Może się coś zmieni.

— Nie!

— Tylko trzy dni.

— Musicie iść dalej. — Dwa dni.

— To przecie moja żona i mój syn. Nie nalegaj.

— Choć jeden dzień.

— Nie! Nie! Konający żąda...

— Tylko jeden dzień. Nietrudno będzie oszczędzić żywności. A nuż się zdarzy, że ubiję łosia?

— No, niech będzie! Jeden dzień, ani minuty dłużej. I... I, Kid... Nie zostawiaj mnie... Niech sam nie czekam tego... Jeden strzał... Jedno pociągnięcie cyngla... Rozumiesz? Ach, pomyśl tylko, pomyśl! Krew z mojej krwi i nie dożyję dnia, żeby go zobaczyć!

Przyślij mi Ruth. Chcę ją pożegnać, powiedzieć, żeby myślała

o synu i nie czekała tu mojej śmierci. Mogłaby odmówić, nie chceć pójść z tobą, gdybym jej nie przykazał. No i bywaj, stary, bywaj!

Kid! Sł... słuchaj. Wierć dziurę nad tym potoczkiem trochę wyżej ujścia. Wyplukałem tam z jednej szufli czterdzieści centów...

I... I słuchaj... — Malemute Kid pochylił się niżej, by złowić uchem ostatnie ciche słowa, którymi konający rezygnował ze swej pychy. — przykro mi... wiesz... z powodu Carmen,

Malemute Kid zostawił Indiankę popłakującą z cicha nad rannym mężczyzną, zarzucił futrzaną pelerynę, przypiął rakiety śnieżne i ze strzelbą pod pachą zniknął w gęstwinie leśnej. Nie były mu obce troski i cierpienia częste na Dalekiej Północy, nigdy jednak nie stanął wobec tak bolesnego problemu. Teoretycznie rachunek był prosty; wyrażał się proporcją: trzy możliwe do uratowania życia przeciwko jednemu skazanemu nieodwołalnie. Mimo to stary wyga wahał się. Przez pięć lat ramię przy ramieniu na rzekach i żmudnych szlakach, w obozowiskach i kopalniach, spoglądając w oczy śmierci podczas walk, powodzi lub głodu Malemute Kid i Mason splatali węzeł przyjaźni. Łączyło ich tak wiele, że Kid odczuwał nieraz podświadomą zazdrość od chwili, gdy Ruth weszła między przyjaciół. A dziś więzy te trzeba będzie przeciąć własną ręką!

Malemute Kid gorąco modlił się o łosia — o bodaj jednego łosia — ale wszelki zwierz musiał widać opuścić okolicę i o zmierzchu zdżony myśliwiec przywłókł się do biwaku z pustymi rękami i pełnym troski sercem. Przyspieszył kroku na odgłos zaciekłego ujadania psów i przeraźliwych krzyków Ruth.

Kiedy nadbiegł, zobaczył kobietę wymachującą siekierą pośrodku rozjuszonych sfory. Psy złamały żelazne prawo swoich panów: dobrały się do zapasów żywności. Mężczyzna przystąpił do dzieła posługując się kolbą strzelby. Na pierwotnym, dzikim tle rozszalała bezlitosna, zaciekła gra, zgodna z regułą doboru naturalnego. Siekiera i strzelba raz po raz podnosiły się i opadały, chybiając lub

trafiając celu. Wiły się wychudłe ciała, groźnie połyskiwały ślepia, piana kapiała z pysków. Ludzie i zwierzęta walczyli o przewagę aż do tragicznego końca. Wreszcie poskromione bestie odpełzły na skraj świetlistego kręgu, zaczęły lizać rany i wyciem rozpowiadać gwiazdom o swojej niedoli.

Zbuntowane zaprzęgi pożarły cały zapas suszonego łososia i zostawiły ledwie pięć funtów mąki, które wystarczyć miały ludziom na dwieście mil wędrówki przez pustkowia. Ruth wróciła do męża, a Malemute Kid poćwiartował gorące jeszcze ściervo psa, któremu siekiera rozłupała czaszkę. Troskliwie spakował wszystkie kawałki mięsa, a psom dał tylko skórę i trzewia niedawnego towarzysza.

O świcie wybuchło nowe zamieszanie. Zgłodniałe bestie poczęły napastować się wzajemnie. Carmen, która uparcie trzymała się wątlej nitki życia, padła ofiarą rozjuszonej sfory. Daremnie bat świstał i zadawał razy. Psy wiły się i skowytały z bólu pod rzemieniem, lecz nie umykały, póki nie zniknął ostatni nędzny ochłap — kości, skóra, sierść, wszystko.

Malemute Kid zabrał się do roboty słuchając Masona, który wrócił znowu do Tennessee i przemawiał mętnie lub krzyczał coś z zapalem do swoich bliskich z dawno minionych dni.

Wykorzystując pobliskie drzewa Malemute Kid pracował szybko, Ruth patrzyła, jak przygotowuje kryjówkę, jakiej myśliwi używają czasami, by zabezpieczyć mięso przeciw psom i rosomakom. Jedną po drugiej przygiął dwie młode sosny, a kiedy spotkały się wierzchołkami i prawie sięgały ziemi, związał je mocno rzemieniem z łosiowej skóry. Później batogiem zmusił psy do uległości i zaprzęgnął do dwojga sanek, na które załadował wszystko z wyjątkiem futer okrywających Masona. Te owinął mocno i owiązał dokoła rannego, a oba końce sznura przytwierdził do sosen. Teraz jednym cięciem myśliwskiego noża mógł zwolnić przygięte drzewa i posłać ciało w górę, między korony sosen.

Ruth wysłuchiwała ostatniej woli męża i nie protestowała. Dokładnie wyuczyła się lekcji posłuszeństwa. Od dziecka chyliła czoło przed panami stworzenia, podobnie jak inne niewiasty, opór uważałyby więc za wybryk przeciwny naturalnemu porządkowi rzeczy. Kid pozwolił jej na wybuch rozpacz, kiedy po raz ostatni całowała męża (był to obyczaj nie znany jej ziomkom), następnie zaś powiódł Indiankę do pierwszych sanek i pomógł jej przypiąć rakiety śnieżne. Instynktownie, na oślep ujęła żerdkę sterową i bat, aby poganiać psy na żmudnym szlaku. Mężczyzna wrócił do Masona, który tymczasem zapadł w kompletną drętwość. Ruth dawno już zniknęła z pola widzenia, a on wciąż siedział skulony przy ogniu i czekał, i modlił się, i nie tracił nadziei, że druh zdąży umrzeć własną śmiercią.

Nieswojo człowiekowi w Białej Ciszy sam na sam z posępными myślami. Milczenie nocy bywa miłosierne: spowija opiekuńczym mrokiem, nieuchwytnym całunem utkanym z tysiącznych nitek współczucia. Ale wyiskrzona Biała Cisza, jasna i chłodna pod stalowym niebem, jest bezlitosna.

Upłynęła jedna godzina i druga. Ranny nie chciał umierać. W samo południe słońce nie wychyliło wprawdzie rąbka nad południowy widnokrąg, lecz zabarwiło niebo ognistą łuną i za chwilę zniknęło. Malemute Kid powstał, ciężkim krokiem przywłókł się do boku przyjaciela. Szybko objął go spojrzeniem z ukosa i w tym momencie odczuł niezmierne przerażenie, bo wydał mu się, że Biała Cisza uśmiecha się szyderczo. Krótko huknął strzał. Mason wleciał do powietrznego grobowca.

Malemute Kid umykał po śniegu. Nie załując bicza zmuszał psy do szaleńczego cwału.